MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 42 WARSZAWA, 10 PAŹDZIERNIKA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

(Numer 42 po konfiskacie)

GENEZA KONFLIKTU POLSKO-LITEWSKIEGO

V

PRZEJRZENIE istoty zatargu polsko-litewskiego jest równoznaczne z poznaniem źródeł, z których wypływają litewskie uroszczenia terytorialne. Źródeł tych jest kilka. Jako najważniejsze wysuwałyby się dwa. Wpływ dziejów ostatnich stuleci na życie dzisiejszego pokolenia Litwinów oraz konieczności topograficzno-polityczne przy odbudowie państwowości litewskiej po wielkiej wojnie. Mówiąc o dziejach ostatnich stuleci Litwy, podkreślić należy arcyważne dla Litwinów zjawisko kurczenia się ich obszaru narodowościowego i to równocześnie z dwu stron: od wschodu i zachodu. Zapatrywania badaczy na ten fakt są jednolite, gdy chodzi o stwierdzenie jego niewątpliwości. Różnią się jedynie w ocenie natężenia zjawiska.

Najpesymistyczniejszym dla Litwinów jest głos w tej sprawie demografa polskiego Bolesława Batora, który w artykule swoim „Na progu nowej ery", opublikowanym w grudniowym numerze „Spraw Obcych" (1930) twierdzi, że w ciągu ostatnich siedmiu wieków obszar narodowościowy litewski skurczył się do $^1/_4$ swej rozciągłości, czyli że naród litewski stracił 75 % ziem, zajmowanych przez siebie w wieku XIII. Nie wyliczając opinii innych autorów, wspomnieć należy o badaniach autora litewskiego Jana Aleksy, profesora Łowniańskiego i innych, którzy różniąc się w szczegółach, merytorycznie są ze sobą zgodni. Stwierdzona przez uczonych gwałtowność przesunięć językowych i poczucia narodowościowego na rubieżach litewszczyzny zaalarmowała ostatnie dwa pokolenia tego narodu i stała się wśród elity litewskiej przyczyną nastrojów, które nazwaćby można było buntem przeciwko rzeczywistości. Temu stanowi uczucia i woli odpowiada też określona reakcja myślowa. Litwini hołdują mianowicie zapatrywaniom, że pojęcie narodowości jest rzeczą nie subiektywnego poczucia człowieka, lecz wyznacza się przez obiektywne znamiona: pochodzenie, obyczaj i charakter osobnika. Powszechność tej doktryny pośród Litwinów zrozumieć można jedynie w świetle klęsk, jakie niedawna historia zgotowała, uszczuplając dotkliwie liczbę synów tego narodu i usuwając mu ziemię z pod nóg. Nie trudno jest dostrzec, że wzmiankowana koncepcja, stając w sprzeczności ze współczesnemi pojęciami moralnymi świata kultury śródziemnomorskiej rażąco odbija od prawa stanowienia o sobie ludów, a więc zasady, dzięki której właśnie naród litewski niezawisłość swą przed kilku laty potrafił odzyskać. Stanowi więc broń obosieczną i w pewnej chwili może nawet stać się bardzo niebezpieczną dla wynalazcy.

Jest rzeczą wyraźną, że adoptowanie tezy o obiektywnem pojęciu narodowości służyć ma w polityce odrodzonej Litwy w życiu wewnętrznym do usprawiedliwiania polityki eksterminacyjnej wobec mniejszości (głównie polskiej i niemieckiej), a w zewnętrznym — do rewindykacji obszarów, nie należących dziś do Litwy, a potrzebnych państwu ze względów gospodarczych, zaś narodowi — ze względu na sentyment, jaki wobec nich żywczy też jaki jednostki kierownicze z inteligencji starają się w masach ludu litewskiego do tych ziem i miejscowości rozbudzić.

Powołując się na przeszłość, jako na tytuł do władania pewnym terytorium, Litwini nie mają wcale zamiaru honorować praw historii w całej jej rozciągłości. Wykrawają z przeszłości tylko taki odcinek, jaki niezbędny byłby — ich zdaniem — by udowodnić prawa narodu litewskiego do części ziem historycznej Litwy dziś już nie litewskich narodowościowo. Nie uznają jednak konsekwentnie uprawnień innych czynników, od wielu wieków współdziałających z nimi na terenie Litwy, do spuścizny, jaką przeszłość pozostawiła. Negują więc prawo narodu polskiego do wkładu pracy cywilizacyjnej i krwi, jaki naród ten na ziemiach Litwy posiada, uzewnętrzniony dziś w postaci polskiej świadomości narodowej mas ludzkich. Mocniej i konsekwentniej występują więc w tym wypadku argumenty sentymentu do straconego mienia narodowego i woli odzyskania go dla celów gospodarczych, czy też mówiąc ściślej — odwojowania taką czy inną bronią. Wypadki ostatniego półwiecza powyższe postawienie rzeczy czynią zupełnie zrozumiałym pod względem psychologicznym i na tem wyczerpywać się zdaje istotna treść zagadnienia.

Naród litewski od brzasku swego odrodzenia w 1918 r. postanowił zbudować swe życie państwowe na następujących podstawach: uzyskać dostęp do morza, uzyskać Wileńszczyznę i granicę z Rosją, zorganizować się wewnętrznie, jako państwo narodowe, służące wyłącznie interesom kultury litewskiej.

Pierwszy z tych postulatów, t. j. sprawę dostępu do morza Litwa złożyła początkowo w ręce mocarstw Ententy. Staraniem Polskiej delegacji w r. 1919 na kongresie pokojowym w Paryżu obszar Kłajpedy został wyodrębniony z Prus, a władza zwierzchnia nad nim przekazana (art. 99 Tr. Wer.) głównym państwom sprzymierzonym i stowarzyszonym. W nocie skierowanej dn. 16 czerwca 1919 r. do rządu niemieckiego Państwa Ententy postanowiły, „że Kłajpeda wraz z sąsiednim terytorium zostanie odstąpiona mocarstwom sprzymierzonym, ponieważ organizacja państwowa litewska nie została jeszcze definitywnie określona". Sprawa Kłajpedy, posiadająca, — ze względu na omawiany temat — znaczenie wtórne, jest jedynie godna uwagi z tego względu, że ponieważ Litwa rozpoczęła politykę nieutrzymywania stosunków z Polską (więc i Wileńszczyzną), przeto po zamachu wolnych strzelców z r. 1923 i po podpisaniu Konwencji Kłajpedzkiej w r. 1924 Kłajpeda weszła do państwa litewskiego, izolowana od ziem, stanowiących 75 % jej zaplecza gospodarczego przed wojną.

Jeśli chodzi o drugi terytorialny postulat litewski, t. j. o uzyskanie Wileńszczyzny, to do tematu tego jeszcze powrócimy. W tym miejscu ograniczymy się jedynie do stwierdzenia, że Litwa sprawę wileńską przegrała, gdyż nie chciała porozumienia z Polską. Wobec tego, że Litwa dążyoı do realizacji tezy, według której o przynależnośı państwowej decyduje przynależność rasowa i pochodzenie, — nawet nie język, jest rzeczą zrozumiałą, że dążenia te musiały być odparte przez

Polskę, która nie może zgodzić się na wynarodowienie części swojej ludności, która się poczuwa do jedności z Polską i która trwać pragnie w kontynuowaniu tradycji zespolenia obszaru W. Księstwa z Polską.

Inną kwestią jest, że w swoim czasie Polska dążyła do kompromisowego załatwienia sporu w formach, które uległy modyfikacji, stosownie do warunków współczesnych i w dążeniu tym gotowa była nawet odstąpić Wilno, jednak pod warunkiem, że państwo litewskie związane będzie z Polską więzami publiczno-prawnemi i że zapewni opiekę kulturalną ludności polskiej. Ugodowe stanowisko Polski na szczęście jednak napotkało na opór ze strony Litwy, która żądała bezkompromisowego przyjęcia jej punktu widzenia, upierając się przy nierealnym rozwiązaniu kwestii Wilna. Stworzone więc zostały fakty dokonane, które przekreśliły możliwość kompromisu. Trudno obecnie przesądzać, czy w przyszłości powstanie podłoże do porozumienia, jednak za pewnik uważać można to, że jednostronnego rozwiązania kwestii wileńskiej, prawnie nie istniejącej, Polska nie da sobie narzucić, uważając Wileńszczyznę za część organicznie i nierozerwalnie złączoną z Państwem Polskim. Z drugiej strony, wobec zacietrzewienia Litwy, graniczącego z obłędem, jeśli chodzi o sprawę Wilna, należy sądzić, że widoków na pogodzenie obu punktów widzenia, a więc i porozumienie niema w chwili obecnej żadnych.

Co się tyczy trzeciego postulatu polityki litewskiej, t. zn. zorganizowania wewnętrznego Litwy, jako państwa nawskroś narodowego, opierającego się na podstawach kultury wyłącznie litewskiej, to dążenie to znajduje swe wytłumaczenie przede wszystkim w przewrażliwionej ambicji narodowej Litwinów, utożsamiających pojęcia o jednakowej terminologii, jednak różne: Litwy-Państwa narodowego, o przewadze jednej kultury litewskiej, z pojęciem dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego, będącego państwem, utworzonem wprawdzie przez dynastję o rasowej przynależności litewskiej, ale które nie posiadało nigdy narodowych cech litewskich i było zamieszkane przez ludność różnojęzyczną, której Litwini stanowili zaledwie połowę.

Dla ambicji litewskiej, obciążonej dziedzicznie wspomnieniami historycznej przeszłości, jest rzeczą przykrą, że szczep ten w zaraniu dziejów, jeszczę przed Unią z Polską, uległ wpływom kultury ruskiej i nie stworzył żadnych warunków dla rozwoju kultury rdzennie litewskiej. Według opinii litewskiej winę za ten stan rzeczy ponosi poniekąd i Polska, która wyparłszy z Litwy wpływy ruskie utrwaliła w niej kulturalne wpływy własne, polskie. Na tle tego rozgoryczenia powstał argument, którym stale obecnie posiłkują się nacjonaliści litewscy, że ludność wileńska wywodzi się z pnia litewskiego, a więc nie jest ani polską ani białoruską lecz litewską z krwi, charakteru, obyczaju. Winna być zatem złączona z Litwą i poddana procesowi wstecznemu: litwinizacji językowej i kulturalnej.

Nastawienie moralne współczesnych patriotów jest przytem takie, że akcję powyższą uważają oni za zupełnie dopuszczalną i godziwą, choćby przebiegać miała ona wbrew woli ludności zainteresowanej. Że tak te rzeczy są rozumiane, świadczy najlepiej przykład postępowania z mniejszościami narodowymi na terenie, który państwowa władza litewska objęła w posiadanie i którym od kilkunastu lat swobodnie dysponuje. Polaków, obywateli Republiki Litewskiej, pozbawiono ziemi, jako najważniejszej podstawy gospodarczej, dającej polskości niezależne stanowisko. Ogólnie biorąc, należy zaznaczyć, że przeważnie ziemiaństwo nie jest elementem zdolnym do długotrwałej, ostrej walki. Zazwyczaj okazuje ono skłonność do pogodzenia się z politycznym losem za cenę pozostawienia mu warunków do normalnej pracy gospodarczej. Pozbawiwszy tę klasę roli społecznie i politycznie kierowniczej, Litwini zaniechali presji narodowej, ceniąc ją jako czynnik produkcji i uświadamiając sobie niemożliwość zmiany jej oblicza narodowego. Jeśli chodzi natomiast o włościaństwo polskie i inteligencję miejską, to stanowisko litewskie okazało się bardziej bezwzględne. Nie chodzi jedynie o to, że ziemian-Polaków przy reformie rolnej wywłaszczono, lecz i oto, że ziemia ta nie dostała się nawet w drobnym odsetku bezrolnym i mało rolnym Polakom miejscowym.

Następnie usunięto ze stanowisk państwowych, samorządowych i wojskowych całą inteligencję polską zawodowo pracującą, odbierając jej chleb. W ten sposób polskość została bez silnej liczebnie i gospodarczo warstwy przodującej. Wówczas zastosowano wobec szerokich rzesz polskiej ludności robotniczej, rzemieślniczej i włościańskiej metodę odpolszczania przez uniemożliwienie jej posiadania szkolnictwa początkowego i odwrotnie: przez zmuszanie do korzystania ze szkół początkowych litewskich, wobec obowiązku powszechnego nauczania. Kontakt górnej warstwy z dołami — drobną szlachtą i włościaństwem — kontakt niegdyś nader bezpośredni został, jeśli chodzi o oddziaływanie kulturalne, zerwany. Zastąpił go monopol szkoły litewskiej oraz innych litewskich instytucji społecznych, z których drobny rolnik-Polak, nie mając wyboru, musi korzystać. Dzieci jego idą do szkół litewskich, gdzie muszą poddać się panującej w nich atmosferze litwinizacji, której wpływ małokulturalnego domu rodzinnego zrównoważyć nie jest w stanie. Wreszcie przeprowadzono energiczne usuwanie polszczyzny z życia kościelnego, oraz użyto czynnie organizacji Kościoła Katolickiego jako potężnego narzędzia litwinizacji mas ludności polskiej. Dodawszy do powyższego prewencyjną cenzurę wojskową prasy i książek, zakaz wwożenia pism z Polski, kary administracyjne, oraz zesłania wewnętrzne i wysiedlenie za granicę jednostek, posiadających zaufanie wśród Polaków miejscowych i inicjatywę w pracy narodowej — otrzymamy całość systemu przemyślanego gruntownie i stosowanego radykalnie w celu odpolszczenia jaknajbardziej rychłego zgórą dwustotysięcznego zastępu Polaków, tworzących do 1920 roku najsilniejszą grupę narodowościową w kraju pod względem poziomu kultury, zamożności oraz wszechstronnej, normalnie rozwiniętej budowy społecznej. Litwinizacja Polaków litewskich nie jest tylko akcją urzędową. Prowadzi ją solidarnie i konsekwentnie cały naród litewski.

Dziś już się nie neguje na Litwie, że są tam obywatele litewscy narodowości polskiej. Ale być

nimi mogą tylko wyższe sfery społeczne: ziemianie i częściowo inteligencja miejska. Reszta — szersze warstwy społeczne — powinny się zlać z masą litewską. Nastąpiła w sferach litewskich pewna stabilizacja poglądów w tej materii. Polskość w Litwie pozostanie po dworach, zamożniejszych salonach miejskich — jako indywidualna właściwość pewnej ilości jednostek — rodzin, Lecz polskość, jako współczynnik polityczny i kulturalny w państwie litewskim powinna przestać istnieć. Rzeczywistość wielkimi krokami zdaje się zbliżać do takiego epilogu tragedji polskiej na Litwie.

BOHDAN ZANIEWSKI

PO UROCZYSTOŚCIACH KU CZCI APOSTOŁÓW SŁOWIAŃSKICH

GORĄCYM entuzjazmem uczciły w tym roku kraje słowiańskie pamięć dwóch wielkich swoich apostołów: Cyryla i Metodego. Szczególnie wielki entuzjam okazała kraina najbliższa obu świętym, Bułgaria. Pamiątką wspaniałego obchodu ich rocznicy pozostaną piękne okolicznościowe wydawnictwa, znaczki pocztowe, ryciny oraz publikacje naukowe i literackie i t. d. i t. d.

W Polsce pamięć o dwóch tych świętych ostatnimi czasy nieco przygasła, mimo, że ją wskrzeszały różne pisma uczonych i literatów, że wspomnimy choćby piękną broszurkę, napisaną popularnie, a jednak naukowo przez W. Tarzyckiego. Z miast polskich tylko jeden Poznań czci dotąd dzień obu apostołów (17 lipca) w sposób uroczysty, postępując za starą tradycją ciągnącą się jeszcze z wieków średnich. Kraków już o tej tradycji swojej zapomniał od kilku dziesiątków lat — od pamiętnego zjazdu welehradzkiego, w którym brali udział krakowscy uczeni i który upamiętnił Matejko wspaniałym obrazem, przedstawiającym obu apostołów.

To zapomnienie, ten zanik starego kultu, tłumaczy się tylko po części tym, że Polska nie była w pełnym tego słowa znaczeniu terenem apostolskiej działalności Cyryla i Metodego. Prócz płynącej stąd pewnej obojętności odegrały jednak poważniejszą rolę inne czynniki. Okazywanie sympatyj słowiańskich, poczuwanie się do plemiennego pokrewieństwa z narodami słowiańskimi było przez Austrię źle widziane — i trwożyło ludzi oddanych jej nazbyt lojalnie. Do tego też przyczyniło się uleganie ze strony niektórych badaczy wpływom niemieckich poglądów historycznych, starających się — ze zrozumiałych pobudek politycznych — pomniejszyć zasługę apostołów słowiańskich, a w imię zasady słowiańskiej „*Minderwertigkeit*" dowodzić, że tylko Niemcom Słowiańszczyzna zawdzięcza całą swą kulturę. Św. Metody, który zwalczał niemieckiego biskupa Wichmana i opierał się niemieckiemu *Drang nach Osten*, był niemieckiej nauce nie na rękę; należało więc dla niemczyzny obalić autorytet braci soluńskich, pohańbić ich i ośmieszyć, choćby kosztem przekręcenia faktów historycznych. W ten sposób zrodziła się przed wojną osławiona książka „*Die Wahrheit über die Slavenaposteln*", (*Tübingen* 1913), pełna fałszów i fantastycznych urojeń, które odparł natychmiast w poważnej i gruntownej replice Karol Potkański, wykazując całkowitą bezpodstawność tez owej niemieckiej publikacji.

Dziś już chyba człowiek naiwny i rzeczy nieświadom będzie powtarzał złośliwości owego paszkwilu tübingeńskiego. Minął czas, kiedy efektowne hipotezy — zlepione z kilku dorywczych szczegółów z pominięciem rzeczy niewygodnych— mogły frapować czytelników. Dziś wymaga się wnikliwnego badania źródeł i dokładnego ich cytowania, A źródeł tych przybywa z każdym rokiem.

Na podstawie tych pilnie zebranyzh źródeł ogłosił niedawno wybitny uczony czeski, ks. dr. Franciszek Dvornik, prof. uniwersytetu w Pradze, wielkie dzieło p. t. „*La légende de Constantin et de Méthode vue de Byzance*" (*Byzanotinslavica supplementa, Tome I, Praga).* Dzieło to nie doczekało się dotąd w Polsce szerszego omówienia; wprost wydaje się jakby było umyślnie przemilczane. Dlatego nie myśląc narazie wcale o pisaniu recenzji, chcielibyśmy zwrócić na nie ogólniejszą uwagę.

Czytelników polskich tej poważnej i powabnej jednocześnie książki zajmie niejedno. I to nietylko rozdział VI („*Byzance et la grande Morave*"), który zahacza także o terytorium polskie, a rozważa wspomnianą kwestię stosunku św. Metodego do Niemców. Nietylko też znakomity rozdział VIII („*L'orthodoxie de Constantin et de Méthode*") źródłowo, na podstawie ściśle cytowanych materiałów z pierwszej ręki, rozbijający w puch wspomniane hipotezy tübingeńskie o „fałszerstwach" Cyryla: Metodego, o „podstępie" („*fides Graeca*"), z których pomocą rzekomo wyzyskali łatwowierność papieża i t. p.

Ale najwięcej zainteresować powinien czytelników rozdział V „*Byzance et les Khazares vers 861*". Fakty tam podane może niejednemu otworzą oczy na te okoliczności, które sprawiły, że pewne czynniki u nas — i gdzie indziej — rzucają się na osoby i działalność ś. ś. Cyryla i Metodego z taką zajadłością.

O Chazarach dziś mało wie przeciętny inteligent polski. Jeżeli uczył się w szkołach rosyjskich i czytał Puszkina, może pamięta jeszcze te wiersze:

Kagda sabirajetsia wieszczyj Oleg
otmstit' nierazumnym Chazaram...

Ale napewno nie będzie wiedział, kim były te „nierozumne Chazary". A rzecz wymaga wyjaśnienia, bo pomimo upływu lat tysiąca wcale nie straciła aktualności. Albowiem owych Chazarów mamy dzisiaj — blisko, bardzo blisko...

Nie czynił rzeczy niepotrzebnej August Bielawski, kiedy na czele swych *Momenta Poloniae historica* (tom I str. 59—78) zamieścił dwa długie teksty w języku żydowskim, dołączając do nich wierny przekład polski. Są to dwa listy pisane z dwóch końców Europy... z terytorium dzisiejszej

Rosji sowieckiej i czerwonej Hiszpanii. Najpierw więc w czołobitnych, barokowym strojem przyodzianych frazesach pisze z Hiszpanii (zwanej po żydowsku Sefarad) reb Chasdaj (Chaskiel), syn Izaaka, syna Ezry, pełniący ważną funkcję na dworze kalifa „izmaelskiego" (arabskiego), do kagana Josela, potomka Abrahama i inych kaganowiczów z rodu Obadji i Bułana, a naówczas króla Togarmy i władcy judejskiego państwa Chazarów. Kagan Josel nie pozostaje dłużny odpowiedzi — i pisze do reb Chaskiela długi list, redagowany napewno ręką uczonych w piśmie żydów, którzy w państwie chazarskim mieli wówczas monopol na literaturę. W liście kagana jest nawet wymienione (Bielewski, str. 70), nazwisko jednego z tych uczonych literatów; zwie on się: rabbi Jakub Eleazarowicz z Aszkenasów (z Niemiec).

O czymże oni piszą do siebie? Zbyt wiele miejsca zajęłoby przytoczenie tych listów w całości; są zresztą łatwo dostępne. Poprzestanę przeto na sprawach najistotniejszych.

A więc Chasdaj pisze z Sefaradu, że pomimo dobrych interesów, jakie prowadzi pod rządami kalifa — Izmaelity (Araba), jest mu w tym golusie czasem smutno, bo oto goje mówią do Żydków: „Każdy naród ma jakiś swój kraj, a wy nie macie nic na ziemi takiego, coby wam wasz kraj przypominało". Ale naraz jak pisze dalej reb Chaskiel do kagana Josela — „duch mój ożywił się i wzmocniły się ręce moje". Czemu? Bo oto doszła do niego wieść, że tam kędyś na drugim krańcu Europy, poza państwem króla Aszkenasów i poza krajem Słowian (Sekalab), „którzy są Gebalim", znajduje się królestwo żydowskie! „Doszła mnie wieść o królu moim i panu, o potężnym mocarstwie jego i licznych wojskach"—pisze reb Chasdaj do kaganowicza z nad Wołgi, Josela.

A kaganowicz Josel, ręką historyka Jakuba, syna Eleazara Aszkenasa, kreśli całą historię zażydzenia kraju Chazarów. Jak to kagan (bo taki tytuł noszą władcy chazarscy), zwany Bułanem, „obrzezał się i kazał obrzezać sługi swe i posłał po uczonego Izraelitę, który wytłumaczył mu księgę zakonu i wyjaśnił wszystkie pisma", dzięki czemu (jak pisze kaganowicz Josel) „po dziś dzień wyznajemy ten czcigodny i prawdziwy zakon... a od tego dnia, w którym przodkowie nasi udali się pod skrzydła Majestatu Bożego poniżył on wszystkich nieprzyjaciół naszych i upokorzył wszystkie okoliczne narody i ludy (egoizm) i żaden nie śmiał powstać przeciw nam i wszyscy płacą nam haracze: królowie Edomów i królowie Izmaelitów". Pisze dalej o rządach Bułanowiczów, którzy budowali Synagogi i „domy nauki" (chedery), „gromadzili mnóstwo uczonych Izraelitów i dawali im wiele złota i srebra", w zamian za co ci uczeni wykładali „24 księgi Miszny i talmud i cały porządek modlitw".

O co modlili się oni w tym rytuale, możemy wnosić z następujących słów listu: „Oby Bóg Izraela przyśpieszył wybawienie, zgromadził wygnanych i rozproszonych jeszcze za życia naszego i twojego i za życia całego domu Izraela".

Ale nietylko skupienie Izraela pod panowaniem tych czy innych kaganowiczów było marzeniem Żydów. Chcieli czegoś więcej a mianowicie, żeby im służyły narody ościenne, zwane wzgardliwie „ludami Edomitów i Izmaelitów". Do tych ludów należą i Słowianie, Sekalab, których wyróżniono przezwiskiem najwzgardliwszym: Gebalim, zaczerpniętym z psalmów Dawidowych. Że reb Chaskiel otacza Słowian szczególną wzgardą, toć rzecz zrozumiała: w dobrze mu znanym kraju „El-Andaluz" (Andaluzji) na targowiskach „izmaelskich" jawiły się co roku tysiące białych niewolników, owych — że Sekalabów (Selavi), sprzedawanych przez potomków Judy, przez rodaków i bodajże wspólników rabbiego Jakuba

Skarży się kagan Josel na przybyszów z północy, normańskich Rusów, którzy psują mu interes, przeprawiając się na łodziach nawet nad samą Wołgą i nad Czarne morze. „Prowadzę z nimi ciężkie wojny"—wzdycha bohatersko.

Istotnie przybycie Waregów, a następnie zorganizowanie przez nich państwa o ludności słowiańskiej, która nawet od nich nazwę swą przejęła, było nie na rękę zażydzonemu państwu chazarskiemu. Ruryk, Oleg i ich następcy, dali się tęgo we znaki rządzonym przez żydów Chazarom, przekreślili nadzieję stworzenia wielkiego mocarstwa izraelskiego, mającego w hołdownictwie trzymać całą wschodnią Europę.

Tymbardziej, że plany Izraelitów zostały podcięte i z drugiej strony — już nie orężem, ale mocą słowa.

Tu już powrócić musimy znowu do znakomitego dzieła ks. prof. Dwornika. Autor przewertował wszystkie źródła bizantyńskie, żydowskie, arabskie, łacińskie wieków średnich, a także całą literaturę przedmiotu i na ich podstawie stwierdził nietylko autentyczność relacyj zawartych w cytowanych powyżej listach, ale też uwierzytelnił niejeden szczegół w legendach starocerkiewnych o św. Cyrylu i Metodym, które mówią m. in. także o misji apostolskiej, jaką w kraju chazarów podjął Cyryl-Konstantyn.

Na str. 156 dzieła ks. Dvornika mamy wiadomość o rozległości państwa Chazarów. Ciagnęło się ono między Uralem, morzem Kaspijskiem i Czarnym, północnymi stokami Kaukazu i sięgało aż nad Okę, więc poza późniejszą Moskwę. „*Des nombreuses nations reconnaissaient alors leur suprématie: les colons grecs de Crimée, les Goths les Alains, établis entre Caucase et Kuban, les Magyars depuis le nord du Don jusqu'au Dniepr et, plus loin encore vers le nord, des tribus finoises, des Bulgares Blancs, du Dniepr vers les rives septentrionales de la Mer d'Azov... de nombreux Slaves se trouvaient sous leur suzeraineté, les Severianes, les Radimiczi, et les Polanes, notamment, avec Kiev pour centre*".

I w tym to czasie, kiedy Izrael sprawował rządy nad taką rzeszą narodów i wdzierał się zachłanną dłonią w posiadłości bułgarskie i słowiańskie, wybiera się do stolicy Chazarów filozof Konstantyn - Cyryl, brat Metodego, żeby krzewić w tym państwie wiarę Chrystusową...

Śmiała to była misja. Żydzi mieli wpływy w samym Konstantynopolu i niebezpiecznie było się im narażać. Ale i władcy Konstantynopola wiedzieli, że misję taką podjąć należy. Wszak pod panowaniem kaganów było wielu chrześcijan, Greków taurydzkich, którym groziło przymusowe obrzezanie i przejście na wiarę żydowską. Wielkie

mocarstwo, mające instynkty zaborcze, a rozporządzające żydowskim kapitałem, było niebezpieczne dla istnienia imperium wschodnio-rzymskiego, nawet przy pozorach „sojuszu" przeciwko Arabom (z których ministrem Chasdajem zresztą kagan Josel wymieniał przyjazne listy!) czy Waregom. Poza tym żydzi bruździli w Konstantynopolu przez podburzanie sekty ikonoklastów, więc należało sparaliżować ognisko ich działalności.

Ale nietylko z woli swego monarchy oraz dla spokoju i dobra jego państwa oraz ludów bułgarskich i słowiańskich przyjmuje na siebie Cyryl-Konstantyn misją nawrócenia Chazarów. Choć tekst legendy jest znacznie amfilikowany różnymi argumentami teologicznymi, to jednak jest w nim tło zasadnicze bezwątpienia prawdziwe. Oto apostoł kierowany był bezinteresowną miłością Chrystusa i chwały Bożej, pragnął dla Zbawcy swojego zdobywać dusze ludzkie, wyrywać je z mocy złotego cielca i bałwochwalstwa.

I cel ten osiągnął. Znaczna część Chazarów porzuciła wiarę żydowską i przyjęła chrześcijaństwo. W jakiej dokonało się to mierze, trudno osądzić, zwłaszcza że późniejsze wypadki dziejowe obaliły państwo chazarskie i wyzwoliły szereg plemion temuż podległych. Wśród tej zawieruchy ogół żydo-chazarów uległ nowej diasporze, golusow. Zawędrowały te żydo-chazary i do Kumanów i do Wałachów i do Niemców czyli Aszkenasów i do kraju Franków, a część nawet osiedliła się w kraju tych Gebalim, tych Sekalabów, tych Polaków, których tak łatwo było sprzedać...

Tak to więc izraelskie „sny o potędze" zniszczył w IX wieku nietylko „wieszczyj Oleg", ale i filozof św. Cyryl. I jakiej metody użył ten brat Metodego? Nie żadnego pogromu, nie rozboju. Poprostu argumentami Bożego słowa skruszył serca władców, a jednocześnie b u d z i ł s a m o w i e d z ę n a r o d o w ą S ł o w i a n, Węgrów i n n y c h n a r o d ó w z a g r o ż o n y c h c h a z a r s k i m n i e b e z p i e c z e ń s t w e m, wskazując im przytem ocalenie—w wierze chrześcijańskiej.

Tę właśnie wielką zasługę powinniśmy i my pamiętać wielkim i świętym Grekom (po matce mającym krew słowiańską), Cyrylowi i Metodemu. I to wbrew fałszywej i szyderczej „*Wahrheit*", jaką fabrykuje się *ad usum Iudaeorum*, na użytek żydowsko-chazarskich kaganów.

Święci Cyryl i Metody o c a l i l i S ł o w i a ń s z c z y z n ę a w t y m i P o l s k ę p ó ź n i e j s z ą o d p o d w ó j n e g o n i e b e z p i e c z e ń s t w a j a k i e g r o z i ł o j e j o d w s c h o d u i z a c h o d u... i podobno jeszcze grozić nie przestało. Za to należy się im z naszej strony ogromna wdzięczność, nie zaś brutalne, złośliwe, kłamliwe i potępienia godne szarganie ich sławy.

SVEVUS

NIEZNANE LISTY STEFANA ŻEROMSKIEGO

5 Oleśnica 10.VIII.89

Drogi Bracie!

Nazywam Was tym imieniem, bo pozostanę bez Was, jak mój chory palec—nietylko samotny, ale fizycznie i moralnie chory. Z prawdziwym smutkiem czytałem Wasz list i wierzcie mi, że oceniać będę brak Was, jak spragniony brak wody. Nie macie pojęcia o tej samotności w społeczeństwie, jakiej obecność czuje zawsze człowiek bez rodziny. Nie mieć rodzinnego domu — najgorsza w życiu męka. W Oleśnicy pędzić będę dalej dnie nasiąknięte konwenansem, jak wata — materią. Rozumiem dziś, jak smutno mi będzie w ciągu kilku jeszcze miesięcy nie mówić. Z Wami, rzadko prawda, przecie wyrzucałem nurtujące w głębi serca myśli. Nie zapomnijcie o mnie... Mało jestem wart, zestarzałem się już i prawdopodobnie tak już pozostanę nazawsze, ropiejąc. Cóż robić? Nie mam do niczego szczęścia.

Co będę robił dalej? pytacie. Będę dumał nad społeczeństwem, udawał człowieka dobrze wychowanego, w ciągu 360 dni na 365 „dobrze myślącego" i marzył o spokoju, o nieobecności dokoła mnie wszelkiej arystokracji. Myślałem o pojechaniu do Krakowa — ale za co? Operacja w mej przemierzłej ręce źle została zrobiona, bo powtórzyło się to samo i grozi mi znowu przeniesienie się do wieczności mej lewicy. Powiedzcie też moim ex-kolegom, że żyję. Dość będą mieli czasu żałować mię, wyliczać nawet nie przymioty, rozpadać się w żalu, gdy umrę. Dużo z tego mówiono o przyjaźni, prawdą mi się wydaje, że żadna istota ludzka nie jest w stanie zrozumieć żadnej istoty ludzkiej. Wasz list chować będę, jak cenną pamiątkę, bo tak ubogi jestem, że nie wiele takich odebrałem w życiu.

Jeżeli starczy Wam czasu i chęci, to natrzyjcie Potockiego, aby wydrukował coś z moich szkiców, jakie do redakcji Głosu wysłałem. Mam wprawdzie listowne *quasi* — zapewnienie kogoś z Głosu (kogo — nie mogę poznać, bo list podcyfrowany trzema kulasami. „Pop."), że nastąpi to po wypróżnieniu się feljetonu, ale kto smaruje, ten jedzie. Nie sądźcie, aby te bazgroty miały jakąkolwiek wartość... Mam zwyczaj wtedy dopiero pisać, gdy wyrobię dany temat uprzednio na czysty i zupełnie zakończony, — to, co posłałem, dorywcze jest, z powietrza złapane, nieartystyczne. Takie — trzy gówienka. Ale w Głosie może to usiąść. Zresztą rozbestwiałbym tymi obrazkami miejscową „Gentry". Korespondencję, o której nierozważnie Wam donosiłem, wysłałem dopiero wczoraj. Słabego, a raczej niedodatniego i niepochlebnego o moim geniuszu nabierzecie pojęcia z tych bazgrot. Później może, kiedy przypiszę Wam jakieś arcydzieło, jakiego świat i korona polska nie oglądały. Bądź co bądź zamawiam sobie Waszą protekcję w Głosie i pokornie o nią proszę.

Bardziej jednak proszę o Wasz adres. Pozostaje mi życzyć Wam ze szczerego, i tak niefrazesowo szczerego serca tyle szczęścia, ile mnie pociechy i dobra przyswoiły Wasze listy. Da los, że zobaczę Was człowiekiem w wysokim znaczeniu tego wyrazu i nikt nademnie bardziej cieszyć się

tym nie będzie. Wasz do śmierci sługa i brat S. Żeromski,

Pozostanie nam w pamięci wspomnienie, jak dla mnie, niemal rzewne, spotkania się wypadkowego, wegietowania i wspólnego tego czegoś, co robi nas jednostki w masie lepsze. Bardzo niewymownie żałuję, że z Wami się już nie zobaczę pod niebem stopnickim — Jestem jednak dziś chory i smutny — tym smutkiem „aż do śmierci". Boję się bym Was nie znudził na pożegnanie i z żalem kończę. Robcie i Wy tak — piszcie, ilekroć Wam braknie, czego nie chcę, odwagi i chęci do życia. Zawsze czytać Was będę z radością a mieć faceta, specjalistę do wysłuchiwania smutków, przekonacie się, nadzwyczajnie niezbędna rzecz. A więc — już poraz ostatni przyjmijcie — *ultimum vale*!

Stefan.

6 Nałęczów 3.IX.91

Kochani moi!

Właśnie wczoraj starym zwyczajem, robiąc ze sobą rachunek nie tyle sumienia, ile stosunków w jakich się żyje, musiałem rozpatrywać szarą i idącą wszerz i wzdłuż do nieskończoności pustkę. Moja absolutna samotność rodzinna i towarzyska aż mnie przeraziła. Co za piekielna satysfakcja myśleć, że gdybym umarł tej nocy, — nikt ale literalnie nikt nie uczułby iskry żalu. Każdy, najmniejszy, najuboższy surdutem i duchem człeczyna— ma starą ciotkę, która mu robi skarpetki, albo przynajmniej czas od czasu nie chce pożyczyć pieniędzy, a ja nie mam nikogo tak dalece, że to aż w śmieszność przechodzi, Przy chorobie suchotniczo-malaryjno-nerwowo-kieszeniowej jest ta świadomość czymś poprostu straszliwym. Kobiety na takiego pacjenta nie lecą (duchem) — jest więc coś do wałęsania się w mglisty dzień po ulicach nieznanego, cudzoziemskiego miasta podobne, do wałęsania się z jakąś uporczywą myślą, czy ideją, wiecznie obecną w mózgu tylko jako chora dokuczliwa żyła, której niepodobna nazwać po imieniu, która istnieje w czaszce, jak kartka białego papieru, gdzie usiłujesz napisać to, (co) się z wewnątrz wyciąga.

I oto odbieram Wasz list...

Może nigdy nie uznałem uczucia jakiejś subtelnej ulgi, czegoś łagodnego i kojącego— tak dokładnie, jak dziś. Gdzieś na dalekim widnokręgu jest człowiek, który na ubogą, jakąś posołdacku przygniecioną do ziemi duszę moją wejrzał litościwiej. I nie to piszę, co myślę, bo nie romantyczną mam pretensję, „do świata", co więcej żadnej nie mam pretensji, bo nie ma o co — tylko qooroby, smutki, samotne jesienie i zimy, nędzni, ʞɟscy, plugawi ludzie otaczający—wszystko co wyʃlıjɔejonego otacza — wytwarzają to jakby wew·tɥrzne, podobne do głodu znużenie. Jedna świecota smuga we zmroku — i jestem znowu sobą, ętn tym, co ma kartkę papieru w czerepie. Jestem hory nieuleczalnie. Zimą było ze mną źle. Malaria, kaszel i moja specjalność: tuberkuły w kościach, rozdrażnienie nerwowe, bezsenność, awantury z żołądkiem, niejedzenia, przejedzenia — słowem szpital w całym sobie. A no doczekałem wiosny. Myślałem, że już się odrodzę — zacząłem się leczyć — więc hydropatia, natryski, arszeniki, jody, bromy, chininy, kumys i t. d. Suma sumarum wyszła figa. Kaszel ustąpił prawda, ale bok boil i sił ani za grosz — zresztą tuberkuły tylko zęby wyszczerzają. Szczęściem byli tu latem ludzie młodzi, chłopcy zacni, kobiety lepsze,—zaczęliśmy „robić w chłopstwie", śpiewać, awantury -- coś tego... Jako tako przeszło lato, a teraz nadleciała chwila, kiedy trzeba znowu dzisiejsze koryto opuścić i iść po grudzie bosymi nogami pod ten nasz wiatr szelmoski, co zawsze w oczy, podlec, wieje. Alem się upasł? Mam coś około 100 rubli, jak mi je tylko oddadzą, zabieram się i jadę... do Krakowa. To jest niby na śmierć tam jadę do tych stańczyków, osiądę tam, zapiszę się na jaką tam najtrudniejszą filozofię i będę czas od czasu do Machaja do Genewy jeździł. Mam zdechnąć — to i cóż: lepiej, niż w jakim, że tak powiem Obrzydłówku. Pod bokiem przynajmniej Jego Ekscelencji księcia-kardynała. Chłopi emigrują na stracenie— to i ja: Myśli w tym wielkiej niema, ale tak coś. Warszawy się boję, bom się tam nacierpiał, jak pies ścigany, zamęczył i zagłodził, wieś i samotność zidyjociły mię do reszty — stąd wynikł Kraków. Co ja tam będę jadł, czym płacił doktorom? „*A ja po czom znaju.*"

— „*Nie mojewo razuma eto dieło*"...

Oto jest nowella dopiero! Po co wy piszecie takie komplementy na rachunek tych tam nowell! Ja wiem, że—z wyjątkiem „Ananke"—to wszystko kwalifikuje się do posypania proszkiem otwockim, no ale—co tam. Ja właściwie tak ukradkiem przed samym sobą piszę, bo ja sam całą niektórych z tej plejady nie czytam z zawstydzenia. Zmieniłem się teraz — widziałem na świecie wiele też, na Podlasiu, dokoła siebie, w sobie, nacierpiałem się sam i z drugimi swoim i cudzym cierpieniem we wspólnych salach, napatrzyłem gnoju i bezprawia — to i piszę niedołężnie, gdy świeci ten mały płaszczyczek litości, czy smutku...

Jesteście mi bratem niemal we wszystkim, to też z serca Wam życzę lepszego losu, niż mój. Ja się gdzieś tam zmarnuję w jakiejś norze i zginę głupio, jak głupio żyłem. Wierzcie mi jednak, że nigdy może nie wierzyłem szczerzej i mocniej w wartość życia, w to „excelsior", które jedno warte śmierci. A może i przyjdzie ta wielka śmierć na szubienicy — za sprawiedliwość.

Wasz na zawsze Stefan.

Będę tu jeszcze dwa tygodnie, po tym z tydzień w Kielcach (poste restante), a potym, pojadę do Krakowa. Gdybyście się tak wybrali ze mną. Czy to Wy pisujecie sprawozdania w Kurierze Warszawskim, pod literami W. Kar.?

Co za szkoda, żem pierwej nie wiedział o Waszym adresie.

Potocki mi w zimie mówił, że ma zamiar Was ściągnąć do redakcji — jużcić na „paranie", ale to zawsze jeszcze lepsze, niż ona belferka, co mnie przynajmniej już się nosem wylewa.

Ale – możebyście na ten rok przyjęli moje obowiązki — 360 rubli, pokój, żarcie, hydropatia. Do nauki trzy dziewczyny — trochę francuskiego i niemieckiego (co łaska zresztą) i inne umiejętności z zakresu gimnazjalnego. Ludzie głupi. „Majster" inżynier oraz dziedzic Nałęczowa. Roboty 3—4 godziny, pozatym zupełna swoboda. Przekonanie swoje mieć można; w lecie urynały rozmaitości, w zimie ohyda i nudy, oraz melancholia.

NA WIDOWNI

Apel do ludzi śpiących. — Polsce potrzebna równowaga. — Stare zasługi muszą pociągnąć za sobą nowe. — Morał portretów.

NIGDY chyba nie odczuwałem tak bardzo ciężaru i zaszczytu pisania „Widowni“ jak w tej chwili. Ale przecież koleżeństwo w tym feljetonie, nie wiem jak obowiązuje, i pisać po Wasilewskim, z nim na przemiany, to jednak chyba może być bardzo tremujące. A cóż jeszcze, gdy wmyśleć się w całą wagę jego ostatniego apelu i doskonałą lapidarność jego formy. To też chyba każdy z czytelników „Myśli“ zrozumie dlaczego długo gryzłem pióro, nim wreszcie napisałem też swój akces do tamtego wezwania.

Mówił kiedyś Popławski o dwóch kulturach i nie jest to nic innego, jak owo przenikanie się dwuch tutaj sfer, dwuch prądów — od góry i od dołu. Narodowy etos czerpie swe natchnienie i siły biologiczne od etnosu. Sam etnos dźwiga się znowu w etos. I jest tu stałe krążenie krwi społecznej, i o to tylko chodzi, by ono było zdrowe i normalne, by przenikanie się owych, wzajem uzupełniających się sfer było równomierne. I w trosce o tę równowagę tak konieczną dla pełni narodowego życia—ja skolei skieruję swój apel do l u d z i ś p i ą c y c h.

Chodzi mi o to, że Polska swoją cywilizację, swoją treść duchową, swój styl już ma i to ma wyrobione od dawna. Że naszem zadaniem na dzisiaj jest tylko to dzieło dalej prowadzić i tego wielkiego dorobku pilnować. Ale że z ludzkich rzeczy nic nie powstaje bez trudu, więc i tu obowiązkiem jest trud walki o to, by w dalszej budowie ów stary styl gmachu był utrzymany. Obowiązek, który spocząć musi na barkach tych ludzi, których ojcowie ów niegdyś szacowny gmach dźwignęli.

Więc krótko mówiąc: o obliczu Polski jutrzejszej, o tym czy ona będzie prawym dalszym ciągiem tej, która była, zadecydują przede wszystkim potomkowie jej warstw historycznych—a więc w pierwszej linii—ziemiaństwo i gentry.

I zaraz się zastrzegam, że nie chcę bronić żadnego przywileju, i że ani mi w głowie wszelkie wstecznictwa czy jakikolwiek konserwatyzm. Wiem, że życie idzie naprzód i, że zwalczyć je można tylko życiem, i że przeszłość zawsze jest martwa. Ale nie widzę wcale powodu, żeby przyszłość była radykalnie inna jak ta przeszłość, i by z całą pasją wymazywała to wszystko co dla tamtej było wielkie, piękne i szczytne.

I całe to bolesne i arcyważne dla Polski zagadnienie polega tylko na jakości ludzi. Jakości ludzi obu tych sfer czy kultur. Od niej wszystko zależy. I w trosce o spełnienie mojego ideału, nie ciskam wcale gromów na tych świeżych, co ławą wielką w przyszłość idą, bo to właśnie ich święte prawo — ale tylko i wyłącznie na tych, co o wiele mi bliżsi, zapatrzyli się jedynie w swoją świetną przeszłość w pradziadowskie portrety i pradziadowskie splendory i dzisiaj już tylko dożywają dni swoich, bez ambicji tworzenia, a co gorzej i bez samej tylko ambicji trwania. Te śpiące dusze chciałbym właśnie obudzić!

Bo obowiązki w narodzie są podzielone i potrzebuje on zarówno ludzi dawnych, jak nowych, skoro zarówno potrzebuje dynamizmu jak statyki. Natura stale kojarzy przeciwieństwa i wszelkie życie jest zawsze tylko wypadkową ich ścierania. Wszelka mądrość leży zawsze w złotym środku. I źle jest, kiedy porządek przyrody jest naruszony i kiedy jeden z tych pierwiastków za bardzo nad drugim góruje, — a dzisiaj w Polsce tak właśnie jest niestety. Nasza tradycyjna, historyczna elita jest tak przykro marna, że Polsce grozi niemal katastrofa zerwania tradycyj i ciągłości jej kulturalnego bytu.

Jest więc np. sprawa reformy rolnej. Na palcach można policzyć ludzi, co z nią walczą; ich zdanie choć mądre i głębokie nie jest popularne. Ale wszelkie nawet puste deklamacje i frazesy przeciwne, wszelkie nawet nonsensy i gołosłowne patosy łatwo zyskują sobie poklask. I niewątpliwie jest tak tylko dlatego, że ziemiaństwo jako sfera zawiodła, a chłop pomimo wszystko, jako warstwa i sfera nie zawiódł.

Pani Zofia Żelska-Mrozowicka napisała o tym w „Kulturze“ (nr. 36) bardzo dowcipnie i słusznie; i bardzo istotnie jako na powód zasadniczej dzisiejszej niepopularności ziemiaństwa wskazała jego pychę. I dodam tutaj, że co do mnie, to gdyby jeszcze była to tylko istotna duma i chłodne trzymanie się zdala od ludzi, którzy czemś rażą, czy jakaś naturalna niechęć do przebywania „za pan brat“ z kimś kto na to z tych, czy innych względów nie zasługuje — tobym tego wcale nie ganił, bo to zbyt naturalne i ludzkie. Ale jest to poprostu idiotyczne zadzieranie nosa do góry i nic więcej. I do tego tem większe, im marniejsza sama osoba;—„jak puste kłosy z podniesioną głową“. A tym jeszcze przykrzejsze, że tym wszystkim tonom towarzyszy równocześnie głupi snobizm ekshibicjonizmu i ordynarności, dzisiejszych dołów i brudnej literatury. Tu naprawdę imponuje Dyzma i mocny cham, a w takim razie co z tradycją, skąd te tony?

Bo przecież trzeba zrozumieć, że „dla pięknych oczu“ nic nigdy na świecie nie będzie i, że „bez pracy nie ma kołaczy“. Cóż z tego, że tylu z nas kocha dwory i, że one kiedyś były istnemi palladiami narodu. Ale sama zasługa przeszłości i sama obrona tych co ją rozumieją i kochają tu nie wystarczy. Stare zasługi muszą wciąż żyć i, żeby dwory były, muszą być godni ich bytu i ich przeszłości ziemianie. A więc trzeba pracy ciągłej, stałej i zrozumienia swego miejsca w społeczeństwie. Trzeba stanąć do narodowego apelu.

I pomińmy narazie ową najważniejszą kwestię tego, żeby być w sensie udziału w narodowem tworzeniu, a wróćmy do tej ubocznej, ale tak charakterystycznej i ważnej, którą przy owej pysze mimochodem potrąciłem. Dwory, o ile mają być sobą, a co za tem idzie mają być ostoją tradycji, winny pielęgnować swój własny styl i swój tryb życia. Winny przy całej swojej nowoczesności (bo zawsze „trzeba z żywymi naprzód iść“) być tym czym od wieków były i być wielkim symbolem narodowego trwania. Mieć ten swój stary, specjalny i niczem nie zastąpiony smak życia, aż do najdrobniejszych błahostek, aż do jakichś zabaw czy hulanek sąsiedzkich włącznie. Ale jakże znowu to wszystko drobne — będzie zachowane, jeśli ich mieszkańcy nagwałt sobie przerabiają duszę i coraz częściej za szczyt ambicji uważa-

ją sobie ściągnąć pod swe gonty jaknajwięcej z „miasta”, „Café Clubu” czy „Colombiny”?

Mówię o tem tyle, bo człowiek jest jednak integralny i swoją osobowość wyraża we wszystkim. Każdy gest, każde powiedzenie coś znaczy. W odruchach i drobnostkach wyraża się dusza i nie można być naprawdę kulturalnym dyspensując się na całego—powiedzmy sobie co do dłubania w nosie. I jeśli ktoś chce być kimś, a każdy właściwie ma ten obowiązek, to musi być tym kimś w każdym calu.

I w tym właśnie istota zagadnienia—trzeba być kimś, i to zwłaszcza gdy się jest na szczytach i ma chociażby tylko dziedziczne ambicje do tego. I czyż ci przodkowie, którymi tak często się swą nicość zasłania, nie byli właściwie czymś? Czyż nie dlatego na ich piersiach barwią się wstęgi orderowe? I jakżeż to o nich mówimy? Oto ten wsławił się tu a tu, i dostał za to to a to. Ten był ulubieńcem tego a tego króla. Ten dostał tytuł od tamtego. Tamten znów to napisał, czy to zrobił. A więc przedmiotem chwalby są ostatecznie zawsze godności, tytuły czy dzieła, coś co zrobiono, czy zdobyto, a nigdy chyba samo imię człowieka. I jeśli nawet zdarza się chwalba li tylko z majątków i prababek księżniczek, czy hrabianek, to jednak zawsze — i tu nawet doszukujcie się tego zasadniczego pytania—czy nie istotą i tej nawet próżności, nie jest dumne przekonanie, że oto prapradziad chociaż skromniejszy z rodu tak się wybił, że sama taka a taka rękę mu swą oddała.

Więc teraz wyciągnijmy sobie morał i lekcję z tych kontuszowych czy mundurowych portretów, które nie dla samej ozdoby przecież wiszą na ścianach. Oto ci ludzie pracowali dla nas i pozostawili po sobie coś. Wszystko jedno czy majątek, czy tytuł, czy imię, ale zawsze coś, na co zużyli życie, z czego jesteśmy dzisiaj dumni. A ten fakt chyba tylko nakłada obowiązki i w głowie nie powinien zbytnio przewracać. Ładna mi pycha, że potomek karmazynów i szambelanów niczem być nie potrafi jak tylko lichym piszczykiem, bo puścił swoje pieniądze a wiedzy żadnej nie posiada. Piękny rzeczywiście reprezentant elity, którego całą wagą tylko historyczne nazwisko i którego w jego przeraźliwej nicości dźwiga jedynie to, że mu się w rozmowie powie—hrabio i że jest kawalerem maltańskim. I jeśli się miało dziadów, którzy byli czymś, to wstydem jest poprostu samo tylko słowne o tym przypominanie i kompromitowanie ich wielkości własną małością. Trzeba samemu być czymś by mieć prawo do dziedziczności elity.

A więc nigdy i w niczem nie można spocząć na laurach i bronić się tym, że się kiedyś było. Dzieło przodków zawsze trzeba kończyć, odświeżyć i prowadzić; trzeba potomności zawsze swój legat życiowego trudu przekazać. Trzeba pamiętać, że do ogniwa wybitnych przodków trzeba zawsze dorzucić nowe — siebie samego. Bo tylko wielki i ciągły wysiłek prowadzi wzwyż, a gdy kto raz w tym wyścigu stanie, ten nieodwołalnie się cofa. Czasu straconego się nigdy nie odzyska, bo on się nie wraca i nie zatrzymuje.

A dzisiaj tworzy się i rośnie nowa Polska. Kuje się ją w narodowych zmaganiach Łodzi, Częstochowy czy Łomży. Wypracowują ją chłopi po Przytykach, Odrzywołach czy Wyszkowach. I obowiązek narodowy wymaga, by ta nowa Polska rosła także i tam, gdzie się chroniła stara: we dworach i w pałacach i w inteligenckich mieszkaniach,—by na te nowe zapalne poczynania patrzyli ze ścian napoleońscy żołnierze, podgoleni dygnitarze i piękne, wytworne prababki... Czyż oni nie żyli ze swojemi czasami? Czyż dzięki temu Polska nie była właśnie szlachecka, wiejska i polna? — Dzisiaj więc wnuki winny robić to samo i żyć i myśleć i nie wegetować, bo w życiu zawsze wysiłkiem miejsce sobie trzeba wywalczyć; — jak wszystko zresztą. Jak pieniądz, miłość, szczęście, świadomą siebie osobowość i ideały. A „bez walki niema zwycięstwa”.

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

MIĘDZYNARODÓWKA

Przed paru tygodniami odbył się w Warszawie zjazd młodzieży socjalistycznej z całej Polski. Socjalizm, ruch oraz idea typowo sezonowe, zeszłowieczne, socializm najlepszy chyba przykład politycznej jętki — zapragnął i sam siebie podniecić i udowodnić, że jednak rozwijać się może w okresie dłuższym aniżeli jedno pokolenie. Stąd „Młodzi idą!”, stąd zaciśnięte w górę drobne piąstki dzieciaków z czerwonego harcerstwa wychowanych w bezwyznaniowej szkole rozmaitych robotniczych kolonij, stąd mundury i znaki, stąd forma a nawet frazes zapożyczone, tak — zapożyczone od ruchu narodowego, jedynego posiadającego dzisiaj w Polsce rzeczywiście młodych. Naśladownictwo jakże ubogie, jakże groteskowe!

Socjalistyczne niedzielne pochody włóczące się po mieście z pochodniami i bez pochodni, ze sztandarami i bez sztandarów, czy były istotnie przejawem żywotności ruchu reprezentowanego przez Polską Partię Socjalistyczną? Może najciepiej manifestacje owe dla siebie komentować w „Robotniku” poczciwina Niedziałkowski, który myśli kategoriami klasycznego liberalizmu, wzdycha do hasła „Za naszą i waszą wolność”, Niedziałkowski, którego poglądów odbiciem był artykuł zamieszczony w gwiazdkowym (oni też mają gwiazdkę) numerze „Robotnika”. Leciwy przywódca socjalizmu nie jest zdolen wyjść poza kategorie myślenia swoich dni młodych, atmosferę swojego szlacheckiego domu. Nie potrafi zrozumieć gatunku owych młodych, których zdołał zebrać 26-go września w Warszawie.

Tragicznie wyrzucona na bruk Paryża po roku 1831 szlachta śpiewała pieśń „Gdy naród do boju wystąpił z orężem...” Wypożyczone z archiwum słowa treść dzisiaj posiadają już inną, a wkrótce zarzucone zostaną w kąt, zakazane mocą partyjnego rozkazu tak, jak w Rosji zakazano grać „Marsyliankę” podniecającą ongiś próby rewolucji. Też z r. 1905. „Naprzód dzieci za ojczyznę...” toż to dla nieletnich proletariuszów wznoszących nienawistnie (i pompatycznie) pięści taki sam przeżytek jak ów „naród” z pieśni po 31-ym. Najistotniejszym przecież wyrazem niedzielnych obchodów były słowa „międzynarodówki”.

Można ją, okazuje się, śpiewać bezkarnie, można publicznie jej wierszami przeczyć istnieniu państwa, można godzić w jego suwerenność, można...—czyżby to było przejawem siły manifestu-

jących, czy może oznaką bezsiły tych, którzy z tytułu swojej pozycji obowiązani są w pierwszym rzędzie do reakcji?

Jaskrawa chęć godzenia w suwerenność państwową Polski nie jest oznaką patriotyzmu — to pewna. Spróbujmy jednak powiedzieć „obce agentury", a zobaczymy, jak się rzucą na nas rozmaite „Robotniki", „Dzienniki Ludowe" i „Epoki". To ich najbardziej boli, bo dotyka w najczulsze miejsce, odkrywa prawdę. Nie rozumieją tego zapewne ludzie typu Niedziałkowskiego, dobrze o tym natomiast wiedzą ci młodzi z trzema strzałkami na błękitnych koszulach, więcej—cynicznie się tym chełpią.

Przeglądaliśmy szeregi manifestujących. Wszystkich idących tak zupełnie uważać za straconych nie można. W chwili rewolucji narodowo-socjalistycznej prawie połowa Niemców była w obozie komunistycznym, dzisiaj wszyscy gotowi są życie swe oddać za ojczyznę. Pod błękitną koszulą „TUR'owego" młodzieńca drzemie polski instynkt. Trzeba mu tylko odebrać towarzysza żyda i dać powód dla entuzjazmu na temat własnego narodu.

Takie dni przyjdą—wierzymy.

NOWE DZIEŁO R. RYBARSKIEGO

O SKARBOWOŚCI POLSKI W DOBIE ROZBIORÓW

WYDANE teraz przez Akademię Umiejętności dzieło prof. Romana Rybarskiego [1]) ujmuje w generalnych liniach wyniki najnowszych badań archiwalnych nad niezmiernie ważnem zagadnieniem skarbowości w Polsce w czasie rozbiorów.

Kładąc główny nacisk na dochody państwa, gdyż „nauka skarbowości to przede wszystkim nauka o dochodach państwa", stanowi konieczne w tej materji dopełnienie fundamentalnego dzieła T. Korzona „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta (1764—94)", w którem główną wagę w dziedzinie zagadnień skarbowych autor położył na sprawę wydatków państwa, dając przez to niepełny obraz ówczesnych stosunków podatkowych.

Jak stwierdza we wstępie prof. Rybarski, przedmiotem omawianej pracy są „dzieje ustroju skarbowego, a nie dzieje doktryn skarbowych tej epoki"—stąd płynie jej życiowość i przystępność nawet dla czytelnika—nie specjalisty, interesującego się zato różnością przejawów życia społecznego danej epoki, dającą się niekiedy odcyfrować z suchych dat i zestawień.

Pragnąc uprzystępnić odległą prawdę dziejową naszym oczom, autor przelicza ceny z lat rozbiorowych na pieniądz dzisiejszy, posługując się w tym wypadku nie porównawczą wartością kruszcową ale siłą nabywczą ówczesnego złotego. Uzyskuje w ten sposób pożądane zbliżenie obrazu.

Po pierwszym rozbiorze Komisja Skarbu Koronnego zreorganizowała — w zastosowaniu do skróconej linii granicznej—służbę celną, osadzając na nowo strażników funkcjonujących przy poszczególnych komorach, pilnujących t. zw. „luk". Przemyt widocznie jest naonczas tak intensywny, że dają się słyszeć rozpaczliwe niekiedy wołania właściwych rewizorów i intendentów o zwiększenie szczupłego personelu; tak np. superintendent prowincji ukraińskiej pisze w raporcie z r. 1792 (Rap. Ukr. 12):

„Gdy więc w powyższym punkcie przełożone przyczyny i wiele nad granicą odkrytych miejsc, pozakładanych słobód, tak z polskiej strony jako i z zagranicznej, okazują niepodobieństwo dostrzeżenia całości dochodów skarbowych, przeto nie przestaję kołatać do zwierzchności mojej o pozwolenie przyczynienia najmniej 18 strażników konnych, gdyż inaczej żadnym sposobem ustrzedz w tak rozległej prowincji nie można przemyślnych w oszukaństwie Moskali, Filiponów, Wołochów i żydów".

Jak widać z zebranych danych, żydzi nietylko władzom celnym dawali się we znaki—jak mogli także uchylali się od podatków, t. zw. „pogłównego", podwyższonego w swym wymiarze na Sejmie w r. 1775 z 2 zł. na 3 zł. od głowy (z wyjątkiem niemowląt do jednego roku). W tym celu ukrywali się się przed „lustracją" czyli dzisiejszym spisem ludności. I tak w ogłoszonej drukiem „Relacji" Jana Nepomucena Małachowskiego, posła sandomierskiego, delegowanego do Komisji Skarbu Kor., z dn. 15.I 1791 r. czytamy. „Pogłówne żydowskie, że nigdy rzetelnie obrachowane nie jest było także objektem Komisji, aby ile możności dochodzić rzeczywistej liczby żydów w kraju się znajdujących. Tym końcem ustanowiła nadgrodę dla *ex* aktorów tego podatku od każdej wynalezionej na nowo głowy".

W dalszym ciągu, niewątpliwym jest uchylanie się żydów od pogłównego, przy użyciu właściwego tej rasie geniuszu przestępczego, przy współdziałaniu całego, wrogo wobec państwa nastawionego, społeczeństwa żydowskiego.

Duży w tej występnej akcji udział wzięli rabini wraz z kahałami. Brano się nawet na takie sposoby, jak nadużywanie w rubryce miejsca zamieszkania określenia — „w podróży", przez co zwiększano stopień nieuchwytności danego osobnika.

Superintendent Żórawski pisze pod datą 15.VII 1790: „Lustracje głów żydowskich w wielu miejscach różnemi i niewypowiedzianemi sposobami trudnione". Następnej zaś daty, 18.VII stwierdza: „od czasu pełnienia służby mojej w skarbie na lustrację pogłównego żydowskiego w roku teraźniejszym z rozkazu J. O. Komisji dyspozycję szóstą dopełniam, każdej lustracji na podawany od kahałów głów żydowskich nierzetelnie regestr spisany".

Bezimienny autor „Memoriału w sprawie podatku" w czasach Sejmu Czteroletniego dochodzi do następujących wniosków: „Uwiadamiać pierwej o lustracji jest jedno co ostrzegać, aby żyd się chronił i unikał zapisania siebie. Nadto przydawanie nieznajomego szlachcica do przysięgi, przebieranie żydów za rabinów etc. i liczne nieprzyzwoitości ten przychód całkowicie do skarbu nie oddają... Samo proste objęcie okazuje, iż w całej Polsce daleko jest więcej żydów z licznym dzieci orszakiem, jak 218,962, to jest liczbą ostatnią lustracją ustanowioną". (Zb. Pop. 131). Prawdopodobniejsza jest cyfra 900.000 głów żydowskich,

[1]) Roman Rybarski. „Skarbowość Polski w dobie rozbiorów". Kraków 1937. Nakładem Polskiej Akademii Umiejętności. Str. 473.

którą dla Korony i Litwy po r. 1770 przyjmuje T. Czacki w „Rozprawie o żydach i karaitach“ (wyd. Turowskiego).

Za Sejmu Czteroletniego miano podwyższyć wymiar owego pogłównego, później projektowano specjalny podatek od żydów, co pozostawało w związku z zamierzoną reformą żydowską w Polsce a więc i uregulowaniem ich stosunku finansowego do państwa.

O bardzo rozległą dla nich w tej dziedzinie autonomię nader skutecznie u króla Stanisława Augusta zabiegał jego dworzanin, Scipione Piatoli.

Żydzi gotowi byli ponieść duże nawet ofiary pieniężne (szło o spłacenie długów królewskich) wzamian za nadanie im praw obywatelskich. Pisze w tej materii w notatce z dnia 14/25.IV 1792 rosyjski rezydent Bułhakow: „Piatoli zapewnia, iż w przyszłym tygodniu sprawa żydowska przyjdzie na stół; że bankier Leblanc i jakiś drugi dają poręką za 5.000.000, które żydzi obowiązują się płacić corocznie w miejsce podatków na potrzeby Rzeczypospolitej i na spłacenie długów królewskich” („Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta“, dokumenty... wyd. W. Kalinka, 1868, II 282 i 348). Ostatecznie, poza drobniejszemi awansami dla króla, nie udało się Piatolemu wyciągnąć od żydów wedle jego pierwotnych nadziei. Tem nie mniej dnia 12.III 1792 zapisuje: „dwóch wysłanników żydowskich z Warszawy złoży jutro królowi 40,000 zł. jako dar dobrowolny, *en de tres bons billets au porteur*, jako zadatek o wiele większej ofiary, którą spodziewają się urzeczywistnić w chwili swego odrodzenia“. To znów 17.V 1792 donosi królowi o układach z żydem Heimanem w sprawie 4.000 dukatów (D'Ancona A., *Scipione Piatoli e la Polonia*... 1915...

Jasne, że na skutek tych „grzeczności” względem wysoko postawionych osób, żydzi w wyniku obrad Sejmu Czteroletniego utworzyli warstwę uprzywilejowaną w stosunku do pozostałej ludności, jeśli chodziło o ponoszone na rzecz państwa ofiary.

Tak bowiem było, że gdy żydzi nietylko przez swych możnych starali się stworzyć dogodne dla siebie ustawodawstwo podatkowe ale i zawodowo po prostu bez żadnych skrupułów trudnili się oszustwami podatkowymi, podrabiając stemple, handlując nielegalnie tytoniem, wódką nie opodatkowaną, uprawiając fachowo i *con amore* przemyt, tak iż niepodobna im było dać rady w ich ustawicznej walce ze skarbem państwa (cytowany superintendent Żórawski powiada: „naród ten w sztuce oszukania najprzebieglejszy“)—to jednocześnie społeczeństwo polskie ochoczo opodatkowało się na stutysięczną armię.

Sejm mianowicie uchwalił dnia 6.IV 1789 r. „Ofiarę wieczystą Prowincjów obojga narodów, na powiększenie sił krajowych“. W skróceniu nazywano ją „ofiarą 10 grosza”. Do tejże deklaracji dodatkowo uchwalono 30 maja „sposób wynalezienia ofiary z dóbr ziemskich i duchownych”, zawierający prócz postanowień proceduralnych także i przepisy szczegółowe, mające wprowadzić w „czyn ustawę”.

„Ofiara wieczysta“, jak wspomnieliśmy, została uchwalona i przeprowadzona w wyjątkowej atmosferze gorącego patriotyzmu, z pełną siłą bijącego z uniwersału Komisji Skarbu Kor. „Jeżeli moc, znaczenie Narodu, bezpieczeństwo i spokojność powszechna są nader miłe prawemu obywatelowi widoki; jeżeli klęsk przeszłych wspomnienie dawniej smutek, a nadzieja ulepszenia losu kraju dziś radość przynosi; to chlubnym jest Narodu zaszczytem w dziele własnym znajdować źródło pomyślności swojej, to ofiara, jednomyślna dziesiątej z ziemskiej, a piątej części z duchownych intrat uwielbia obywatelstwo kraju, zaręcza szczęście będącemu teraz i żyć mającemu po nas Narodowi.

Znał obywatel cenę majątku swego w miarę sposobności zwrócenia go usłudze publicznej, zleceniem dania wieczystej ofiary uświęcił imię wolnego Polaka; a tak zgromadzony Naród w stanowieniu na siebie podatków okazał, co miłość Ojczyzny, co szczęście być wolnym w szlachetnych sercach działać umie“. (Prot. Of. I).

Podobne motywy brzmią w protokułach poszczególnych Komisyj, przez swą wewnętrzną a czasami formalną poezję odbierając im suchy, biurokratyczny charakter zwykłych urzędowych „kawałków“.

Oto w postaci jakiego wiersza dali wyraz komisarze pow. kolneńskiego radości, iż wykonali statecznie powierzoną część pracy:

„Już Bogu chwała rozpoznano niwy,
Już wszystkie na nich spisano wysiwy,
Już szlachcic brogi ponapełniał stare,
Wie co dla niego—wie co na Ofiarę.

Już i gotowe intraty zliczone,
Tuczne daniny, siana pokoszone,
Wszystkie porządnie zebrane kominy,
Pobożnych księży płodne dziesięciny.

Już kapitulny prowent zaniedbany,
Przez Komisarzy dobrze zlustrowany.
A czego powiat w podatku uskąpi,
To sama ludność piersiami zastąpi”.

(Kolno Prot. Of. 83)

Kapitalne dzieło prof. Rybarskiego przyczyni się do tem lepszego poznania epoki rozbiorów, wszechstronnie teraz z różnych stron przez badaczy naświetlanej. Pisane z wzorową metodą naukową, poza bogactwem erudycji, świadczącej o znanej już z prac poprzednich pracowitości i sumienności znakomitego badacza, roztwiera przed oczyma czytelnika rozległe horyzonty historyczne, dowodzi „zdolności do twórczego wysiłku narodu, który z przyczyn sięgających głębiej, działających już oddawna, tracił swoją niepodległość“. Bowiem „w dziedzinie skarbowej Rzeczpospolita w dobie upadku przejawiła mimo wszystko swą zdolność do życia“.

— *Historia magistra vitae.*

ST. J.

NAUKA i LITERATURA

HYMNY KOŚCIELNE

Od lat kilku obserwujemy w Polsce ogromne zainteresowanie hymnografią kościelną. Pojawiło się wiele prac poświęconych tej dziedzinie, nad którą badania u nas od wielu lat leżały odłogiem; odsłaniają nam one wielką dziedzinę piękna poetyckiego, dotychczas przez nikogo niedocenianą. Dowodem jednak największym na aktualną żywotność kościelnej hymniki jest przede wszystkim rosnąca z każdym rokiem liczba przekładów, wśród których są i mistrzowskie, takiego Staffa, Lieberta, Zahradnika, ks. Karyłowskiego i kilku innych (godzien jest uwagi też prozaiczny przekład wszystkich hymnów brewiarzowych dokonany przez najlepszego u nas znawcę hymnologii, ks. B. Gładysza).

Do grona tłumaczy dołączył się obecnie młody zakonnik, karmelita Bernard od Matki Boskiej, który sporą erudycją (zdobytą na studiach we Włoszech i Hiszpanii) łączy z niewątpliwym talentem poetyckim. We własnych poezjach jeszcze za często korzysta z przywileju młodzieńczości i zbyt daje się ponosić łatwości pióra, natomiast w przekładach widzimy u niego większy rygor i poczucie odpowiedzialności każdego wyrazu. Zapewne mocowanie się z myślą cudzą hamuje rozpęd nadmierny i zmusza go do większej rozwagi.

Dotychczasowe próby przekładowe młodego poety-teologa idą w dwuch kierunkach, które oba jeszcze są polskiemu ogółowi nieznane. Pierwszy z nich to grecka poezja religijna z wieków VI—X po Chrystusie, drugi zaś — to mistyczna poezja hiszpańska w. XVII.

Tylko drugi z tych terenów bywał dotąd nawiedzany przez polskich tłumaczy, mianowicie przez Zygm. Krasińskiego (Glossa św. Teresy), L. Siemieńskiego i E. Porębowicza. Na teren chrześcijańskiej liryki greckiej—przed O. Bernardem—wkraczał dotąd tylko jeden tłumacz polski, który cząstkę swoich plonów zebrał w „Antologii bizantyńskiej", wydanej nakładem Trzaski-Ewerta-Michalskiego. Ale i on nie podjął się przedsięwzięcia tak śmiałego, na jakie porwał się jego następca. Przedsięwzięciem tym jest próba spolszczenia słynnego „*hymnos akathistos*" — ułożonego w VII wieku przez patriarchę Sergiusza ku czci Matki Boskiej z dziękczynieniem za ocalenie Konstantynopola przed Awarami. Pieśń ta jest wprost niedościgniona co do swego kunsztu; upaja melodią słowa, olśniewa bogactwem przenośni, zdumiewa zestawieniami wyrazów, niezwykłością rymów. Tłumacz zdawał sobie sprawę, że w polszczyźnie bodaj niepodobna dać równoważnika oryginału, więc nie kusząc się o oddanie wszystkich ozdób stylistycznych, ani też formy wierszowej, oblókł swój przekład w szatę znacznie prostszą, w każdym razie jednak powabną i polskiemu uchu miłą.

„Żywy płomień miłości" św. Jana od Krzyża już mniej do nas przemawia w przekładzie. Słowa tu zamało—płoną; wydają się niekiedy zbyt przyprószone refleksją czy zadumą. Tam, gdzie przychodzi do głosu w stopniu wyższym pierwiastek refleksyjny, a więc głównie w objaśnieniach św. Jana, tłumacz sprawia się znacznie lepiej, niż w przekładzie samych strof hymnu, gdzie rażą pewne dyssonanse spółgłoskowe i rymy niekiedy zbyt częstochowskie. Całość w każdym razie jest udatna, a rzeczowa i przystępna przedmowa ułatwia wybornie orientację w rodzaju i zawartości utworu. Dzieło św. Jana od Krzyża, narówni z dziełami Kalderona, poznać powinien każdy, kto chce mieć należyte zrozumienie źródeł t. zw. baroku, którego istotę i rolę w ogólnych dziejach kultury tak świetnie niedawno wyjaśnił znakomity znawca literatury hiszpańskiej, prof. Folkierski.

Torować drogę znajomości hymnologii chrześcijańskiej wśród ogółu społeczeństwa mogą wybornie „Hymny chrześcijańskie" (łacińskie) wydane niedawno w t. zw. „Tekstach Filomaty" przez najlepszego polskiego znawcę literatury średniowiecznej, prof. Ganszyńca. Także i piękna rozprawka ks. Gładysza „Liturgiczne znaczenie hymnów brewiarzowych"; autor przede wszystkim zwraca uwagę czytelnika na stronę artystyczną tych utworów, z których biło i bije źródło największych natchnień poetyckich.

J. B—r.

RUCH WYDAWNICZY

Ludwik Łakomy. „Kwiaty na hałdach, górnośląskie legendy górnicze". Nakł. księg. Mikulskiego. Katowice 1937.

Książkę poprzedza motto z przemówień działacza narodowego ś. p. Teodora Tyca: „Górny Śląsk nie jest cukrową sielanką. Nie jest pełnym gestu dramatem. Jest prozą, pełną życiowej mądrości. Dużo tam pracy realnej i dużo kamieni".

Jakie są te legendy, zebrane przez Ludwika Łakomego, utalentowanego pisarza, legendy poczęte w głębiach kopalń, rubaszne i szorstkie w wysłowieniu, lecz zarazem prześwietlone wiarą religijną i okraszone swoistym ludowym humorem? Żyły wśród ludu, opowiadane przez ślepego górnika Wojciecha Hajdę. W walce z niemczyzną krzepiły nadzieją połączenia Śląska z Polską. Aż wreszcie, gdy wybiła godzina wolności, lud pod przewodnictwem tegoż Wojciecha Hajdy, w czerwcu 1922 r. witał wkraczające do Piekar wojska z gen. Szeptyckim na czele.

Pan Łakomy ogłosił legendy w gwarze środkowo-górnośląskiej, będącej w użyciu w obwodzie przemysłowym, — jak pisze—„w tej prześpiewnej, czarującej naszej gwarze o skargowskich zwrotach i wyrazach rdzennie staropolskich, które domagają się prawa obywatelstwa w dzisiejszej mowie polskiej". Treścią rozmaite. Mówią o pracy i św. Barbarze, patronce pracy górniczej, o dziejach Śląska jeszcze pod rządami książąt piastowiczów. Piękne, jak malowane wiekowe kroniki klasztorne.

Wydawca rzetelnie zasłużył się literaturze regionalnej. Zbiór zaopatrzył charakterystyką dialektu, słownikiem, ilustracjami, i dołączył poemat z XVI wieku, „Opis salin wielickich", napisany przez Andrzeja Schroetera ze Śląska po łacinie, w polskim przekładzie Z. Węclewskiego. (A. W.)

*

Aleksander Groza: „Zagadnienie elektryfikacji na Śląsku". Z 21 ryc. Katowice 1937 r. Str. 66. Cena zł. 2.50.

Publikacja omawia wszechstronnie zagadnienie elektryfikacyjne na Śląsku. We wstępnym rozdziale autor przedstawia ogólne problemy elektryfikacyjne, po czym porównuje z elektryfikacją reszty Polski. Okazuje się, że Śląsk jest dzielnicą najbardziej zelektryfikowaną w Polsce. Wreszcie autor omawia zagadnienia organizacyjne i prawne przemysłu elektryfikacyjnego, poświęcając specjalną uwagę taryfom, widokom zwiększenia zbytu energii elektryfikacyjnej i ustawie elektryfikacyjnej. Praca zaopatrzona jest w liczne ilustracje, tabele, wykresy i mapy, stanowiąc jedyną w Polskiej dotychczasowej literaturze monografię, poświęconą omowieniu problemu elektryfikacyjnego w Polsce.

*

Aleksander Birkenmajer: „Astronomowie i astrologowie śląscy w wiekach średnich". Katowice 1937 r. Str. 40. Cena 1.20. — Śląsk nr 33. — Wyd. Inst. Śląs.

Nowa praca znakomitego badacza dziejów nauki prof. Birkenmajera przynosi nowe nieznane materiały do dziejów nauki na Śląsku. Autor omawia działalność naukową śląskich astronomów i astrologów w wiekach XIII, XIV i XV, podkreślając, że w wiekach średnich astronomia i astrologia były ze sobą ściśle związane. Wszyscy ci Ślązacy pozostawali w ścisłym kontakcie z Krakowem i ówczesną akademią jagiellońską. Praca zaopatrzona jest w obszerne przypisy naukowe i stanowi cenny dorobek naszej nauki o Śląsku.

ZMARLI

Ś. P. JÓZEF PETRYCKI

Żegnanie nad grobem jest zawsze bolesne, ale połączone jest z jakimś osobistym wyrzutem, że się jeszcze żyje, gdy żegnamy człowieka o dziesiątki lat od siebie młodszego.

Oto zmarł w 48 roku życia redaktor „Warszawskiego Dziennika Narodowego" Józef Petrycki ku serdecznej żałobie wszystkich, którzy z nim pracowali, to znaczy tych, którzy go bliżej poznali z tej najlepszej strony, z jakiej widać człowieka w całej jego wartości.

Rodowe nazwisko (Karliczek) zmienił w czasie wojny, kiedy konspiracyjnie jako łącznik przemykać się musiał między frontami. Znałem go we Lwowie jako słuchacza uniwersytetu i czołowego działacza „Zetu". Pochodził z pow. pilzneńskiego (dzisiejsze woj. Krakowskie). Urodzony w Brzostku 25.X.1889, kończył gimnazjum w Jaśle, w uniwersytecie we Lwowie studiował z upodobaniem historię. Jako „zetowiec" widział swoje najbliższe zadanie w pracy oświatowej, więc był kierownikiem akademickiego Koła Tow. Szkoły Ludowej.

Po wybuchu wojny zaciągnął się do Legionu Wschodniego, gdzie pozostawał w ścisłych stosunkach ze St. Biegą i Al. Skarbkiem. Po rozwiązaniu się Legionu, który odmówił służby na froncie niemieckim, pracował gorliwie w Komitecie Ratunkowym jako delegat na pow. pilzneński. W d. 19 czerwca 1915 r. wobec powrotu wojsk austrjackich do Lwowa wyjechał z całym gronem działaczy i redakcją „Słowa Polskiego" do Kijowa. Było to ważne ognisko wychodźctwa polskiego i organizacji Polaków na Rusi. Petrycki pełnił ciężką służbę kuriera między grupami polskimi wojska (Haller) pełną niebezpieczeństw.

Po powrocie do Warszawy oddał się całkowicie pracy politycznej i publicystycznej. Na każdym posterunku, który mu wyznaczono, był niezmiernie użyteczny. W r. 1922 wybrany do Sejmu (z okręgu Ostrów Wlkp.), a potem ponownie wybierany pełnił sumiennie obowiązki poselskie do roku 1935.

W r. 1924 powierzono ś. p. Petryckiemu redakcję „Gazety Bydgoskiej", w r. 1934 wstąpił do redakcji „Gazety Warszawskiej". Pracował jako dziennikarz do ostatnich dni życia (w „Warsz. Dzien. Narodowym) pod koniec ponad siły, nadwątlone ciężką chorobą nerek, których nigdy nie miał czasu leczyć.

Spotykałem się z Petryckim za stołem redakcyjnym w „Przeglądzie Polskim" w Kijowie w r. 1918, potem w redakcji „Gazety Warszawskiej" i w „Przeglądzie Narodowym", wreszcie w „Myśli Narodowej". W „Przeglądzie Narodowym" w r. 1920 ś. p. Petrycki ogłosił w dwu zeszytach gruntowną rozprawę o Romanie Dmowskim. Rzecz tę wydał również w książce.

Działalność polityczna, wymagająca ciągłych usług agitatorskich i wędrówek po kraju, nie pozwoliła mu rozwinąć należycie uzdolnień pisarskich, zwłaszcza na polu historiografii, do której pociągały go uzdolnienia. Cały zasób konstruktywnej myśli rozproszył w licznych artykułach publicystycznych oraz w mowach wiecowych czy sejmowych. A doskonałym był mówcą.

Osierocił przedwcześnie rodzinę: żonę i dwu synków. Śmierć niezawsze jest przedwczesna, ale w tym wypadku przedwcześnie śmierć zmiotła z posterunku człowieka potrzebnego. Przyjaciele dzielą z rodziną żal po Zmarłym, w nich bowiem również miał swoją rodzinę. Zapewne inna miłość leży w podstawie tej szerszej rodziny, ale ileż dłuższe życie pośmiertne, gdy ta miłość płacze nad grobem. Ona przekaże potomności pamięć o ś. p. Petryckim, jako o człowieku dobrym, prawym, ofiarnym i zasłużonym ojczyźnie.

Z. W.

FILM

STYLOWY: „Ziemia błogosławiona", film amerykański.

Istnieją filmy o scenariuszach oryginalnych, są też takie, które treść swą opierają na znanych utworach literackich. Obie metody mają swoich zwolenników i przeciwników. Przeciwnicy scenariuszy oryginalnych twierdzą, iż tworzy się je zwykle wedle utartych szablonów i scenarzysta nigdy nie dorówna utalentowanemu powieściopisarzowi. Przeciwnicy czerpania ze skarbca literatury uważają, iż film przeważnie paczy sens utworu literackiego i staje się jego marną parodią. Wszystko zależy jednak od inteligencji i talentu przerabiacza. Dobry film z dobrej powieści nie wywoła niczyich sprzeciwów, a literaturze się przysłuży, popularyzując jej dzieło.

Do takich utworów filmowych należy „Ziemia błogosławiona", według znanej i popularnej u nas powieści „Pearl Buck. Scenariusz w niczem nie przypomina zwykłych szablonów amerykańskich, właśnie dzięki powieści. Jest to epos chińskie, o doli chłopa i o jego miłości do ziemi. Ponieważ powieść opisuje szmat życia ludzkiego, dzień po dniu, film musiał się posłużyć skrótami: zwartym montażem krótkich obrazów rysuje tło, wprowadza nas w środowisko i atmosferę pracy rolnika. Obraz tu przemawia własną zawartością plastyczną, jest wymowny bez słów i objaśnień. Pięknie np. wypadła scena narodzin dziecka, podczas której przyroda burzą sama tłumaczy dramat matki, ukrytej przed okiem widza. Może trochę zamało jest widoków ziemi, istotnej bohaterki filmu; trzeba nią było bardziej nasycić oczy patrzącego, ukazując jej przeróżne fragmenty, w rozmaitych ujęciach objektywu.

Styl opowieści filmowej, lakoniczny i nie efekciarski, skażony został nieco końcową sceną obrony pól, zagrożonych najściem szarańczy. Jej najście trąciło już typową hecą amerykańską. Zakończenie natomiast, trafne, zamyka film akordem śmierci i ślubu. Jedno życie się kończy, zaczyna drugie...

Główne role powierzono Pawłowi Muni i Luizie Reiner. Słyszałem opinię jednego z poważniejszych krytyków filmowych, który był zdania, iż postać chłopa i jego żony, O-Lan, powinni raczej odtwarzać prawdziwi Chińczycy. Nie uważam tego za konieczne. Nas nie obchodzi to, czy ten chłop będzie prawdziwym chińskim chłopem, bo ta chińska prawda nie jest nam, aż tak bardzo znana, byśmy mogli sprawdzać jej autentyczność i pozostanie dla nas pewnego rodzaju egzotyzmem. Wystarczy gdy aktor swą grą każe nam uwierzyć w jedno: i prawdę chłopską wogóle, która na całym świecie wyraża się tym samym — przywiązaniem do ziemi. Otóż Paweł Muni, jako chłop, miał sporo gestów fałszywych, natomiast Luiza Reiner stworzyła postać wspaniałą, najbardziej wzruszającą. Była to już dusza człowiecza, pewien typ, charakter, każdy gest był gestem tej samej istoty. Całość wykuta w jednej bryle.

STUDIO: „Władca", film niemiecki.

Film ten jest tak nierówny, iż czyni niemal wrażenie utworu zespołowego, kilku autorów. Zaczyna się świetnie: operując językiem rdzennie filmowym, stwarza obrazy o sugestywnej treści wizualnej (cmentarz, deszcz, parasole, trumna na białych sznurach, zjeżdżająca w czarną otchłań...) Lapidarnymi sztrychami rysuje postacie i charaktery, dając posmak groteski, kontrastowaniem nastroju powagi, z oznakami ludzkiego zniecierpliwienia. Potrafi dobrze zmontować i wyzyskać efekty mowy (jej treść emocjonalną, nie literacką), w przemówieniu pastora, czuwa nad każdym ruchem aktora i prowadzi go czujną batutą reżyserską. Dalej komponuje znakomity obrazek „rodzinki", pełen charakteru, a zarazem dyskretny i oszczędny w rysunku.

Później wszystko zaczyna się rozłazić. Praca reżysera staje się coraz bardziej banalna. Operator śpi, ruch zamiera, nikt nie dba o kompozycję oddzielnych obrazów. Djalogi, rozmowy, rozmowy, rozmowy... operator jakby skamieniał ze swoim aparatem: ludzie rozmawiający ciągle tak samo ujęci, ciągle z tej samej perspektywy. Szlachetne tendencje filmu, jego poważna treść, toną w morzu plastycznej nudy.

W roli „Władcy" — Emil Jannings.

KANDYD

NOWE KSIĄŻKI

Rybarski Roman. Skarbowość Polski w dobie rozbiorów. Kraków 1937. Nakł. Polskiej Akademii Umiejętności. Str. VI i 473.

Hubert Stanisław. Rozbiory i odrodzenie Rzplitej. Zagadnienie prawa międzynarodowego. Lwów 1937. Zakład prawa polit. Str. XVIII i 284.

Niepodległość. T. XVI, zesz. 2.

POKŁOSIE

JESZCZE O POPRAWIE

JAK PISALIŚMY poprzednio, wpływy skarbowe zwiększyły się w tym roku, a to wskazuje na poprawianie się materialnego stanu społeczeństwa. Zwróćmy się teraz do innych znamion tej następującej poprawy.

Dla nikogo nie jest tajemnicą fakt wielkich u nas braków na każdym prawie polu, a niektóre z nich nabrały przez ostatnie lata formy jakiegoś tragicznego paradoksu. Trafiamy na nie na każdym kroku, przeglądając referaty, wygłoszone na zjeździe inżynierów we Lwowie, gdzie usiłowano podsumować wiele naszych pozycji i naszkicować jakiś plan odbudowy.

Więc np. w kraju z ogromną przewagą rolnictwa, stwierdzono zupełny brak inżynierów-konstruktorów maszyn rolniczych. Wprawdzie każdy prawie kowal wioskowy majstruje coś koło narzędzi pracy na roli, lecz jeżeli chodzi o wyrób ulepszonych tego rodzaju narzędzi, to nie istnieje on niemal zupełnie, to co było i zaczęło się rozwijać pognębił kryzys, zabrakło chętnych do poświęcenia się tej specjalności, zamarła wszelka inicjatywa.

Taki sam brak stwierdzono w innej gałęzi techniki, mianowicie o ile chodzi o melioracje rolne. W kraju o wielkich obszarach nieużytków, bagnisk, błot i zapuszczonych gruntów, specjaliści od ulepszania tego stanu rzeczy są bardzo, jak na potrzeby, nieliczni, nie było napływu nowych sił do ich szeregów. Doszło do tego, że w celu zachęcenia młodzieży technicznej do studiów w tym dziale, który przecież powinien u nas kwitnąć, ministerstwo rolnictwa musiało ogłosić, jak czytaliśmy ostatnio, ustanowienie szeregu stypendiów.

W kraju, mającym wszelkie warunki naturalne, sprzyjające stworzeniu bardzo dobrej sieci dróg wodnych, która zapewniłaby równomierniejszy rozwój gospodarczy wszystkich dzielnic kraju, prace nad wykonaniem tego niezbędnego kroku posuwają się niesłychanie wolno, a ich przyśpieszenie napotyka nietylko na przeszkodę w postaci braku pieniędzy, ale nie dałoby się wydatnie zwiększyć odrazu, gdyż również zabrakłoby umiejętnych wykonawców, zarówno wyższego jak i średniego poziomu.

A więc specjalności, które w normalnych warunkach powinny przyciągać najwięcej adeptów, gdyż mają najlepsze szanse rozkwitu, zostały w ostatnich czasach całkowicie zaniedbane i opuszczone. Oto jaskrawe skutki kryzysu i wynikłego zeń zastoju na najważniejszych polach życia gospodarczego.

A jednocześnie czytaliśmy ustawiczne skargi na przerost biurokracji, na pogoń za każdą choćby najlichszą posadą rządową, niechęć do zawodów wolnych itd. To było oczywiście, w może nie całkowicie, lecz w każdym razie w dużej mierze, skutkiem tego zastoju.

Otóż to zaczyna się zmieniać. Stwierdza się tu i ówdzie odpływ kandydatów od nauczycielstwa, a w niektórych działach nauki, dających się łatwiej zwekslować na działalność stosowną, a więc wśród nauczycieli fizyki, asystentów katedr na politechnikach daje się zauważyć ucieczka z tych posterunków na lepiej płatne miejsca w przemyśle.

Dały się już z tego powodu słyszeć głosy, wyrażające troskę z powodu szkód, jakie podobne zjawisko może wyrządzić. Troska podług nas nieuzasadniona. Jest to zjawisko normalne w kraju z odżywającym przemysłem. Piszący te słowa pamięta dobrze zupełnie takie same wyrzekania, które miały miejsce przed 40 laty w Niemczech, będących wówczas u szczytu swego rozwoju przemysłowego. I tam lamentowano nad tym, że wyższe zakłady naukowe nie mogą utrzymać u siebie zdolniejszych sił profesorskich, gdyż przemysł porywa je nieustannie, ofiarowując płace, o których w służbie rządowej nie śni się nawet ministrom, a cóż dopiero asystentom. Obawiano się, że wyjdzie to na niekorzyść rozwoju nauki, a państwo nie jest przecież w stanie zapobiec temu, bo go nie stać na takie pensje. Jednak obawy okazały się płonne. Nauka nie zginęła, nastąpiło tylko w niektórych działach przesunięcie jej punktu ciężkości. Np rozwój chemii barwników, która doszła w Niemczech do nadzwyczajnego rozkwitu, przeniósł się z uniwersytetów do laboratoriów, urządzanych i dobrze dotowanych przez wielkie fabryki chemiczne. Ostatecznie okazało się obojętne, gdzie się ten postęp naukowy zdobywa, rzecz główna w tym, żeby go naprawdę zdobyć.

Więc nie kłopoczmy się z tego powodu, że i u nas zaznacza się coś podobnego, raczej się powinniśmy cieszyć. Jeżeli ludzie rezygnują z kiepskiej (ale zato pewnej) posady i ryzykują rzucenie się w wir koniunktury, to jest to dowodem, iż następuje jakieś odprężenie, że zaczynają podnosić głowy. A to jest pożądane pod względem materialnym, lecz pomyślne przedewszystkim pod względem moralnym.

ARGUS

NA MARGINESIE

Także zabawa!

— Czego się bijecie chłopcy? Za łby się wodzicie, kopiecie, kamieniami w siebie miotacie jak zbrodniarze!

Na to obaj zapaśnicy krzyknęli:

— Bo ten łajdak nie chce się ze mną bawić!

*

Mackiewicz (Cat.) w „Słowie" interpeluje, dla czego tak późno rozwiązano zarząd Związku Nauczycieli, skoro komunikat rządu stwierdza, że Związek „od dłuższego czasu" uprawiał komunizm. Dla czego odrazu nie zrobiono z tym porządku?

Odpowiedź prosta: Postępowanie spadkowe zwykle trwa długo. Scheda po BBWR nie łatwa do uregulowania, zwłaszcza że ciągle odnajdywane są jakieś testamenty. Któż mógł przewidzieć, czy droga wypadnie na lewo, czy na prawo, skąd ozon powieje?

*

Podobno młodzież socjal-demokratyczna naradza się nad tym, czy nie przesiąść się do żydów i wogóle...

— Posuńcie się, bracia. My z wami do ghetta, a potem choćby na Madagaskar.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.50. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.